

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 11 (2015)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

O Muzeum Historii Żydów Polskich

On the Museum of the History of Polish Jews

Małgorzata Szpakowska

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.510
Strony/Pages: 753-759

CC BY

OPEN ACCESS

Małgorzata Szpakowska

O Muzeum Historii Żydów Polskich

Proste pytanie: Co w Muzeum Historii Żydów Polskich może zobaczyć zwykły widz? Nie muzealnik, nie historyk i nie Żyd z pochodzenia lub wyboru, świadomy własnych dziejów. Ot, zwyczajny mieszkaniec Warszawy albo ktoś przyjezdny, kogo przyciągnął rozgłos towarzyszący powstawaniu tej placówki, a potem organizowaniu stałej ekspozycji historycznej. Widz, który wie już zapewne, że sam budynek, zaprojektowany przez Rainera Mahlamäkiego, uznawany jest za jedną z najciekawszych realizacji architektonicznych ostatnich lat, a z kolei koncepcja wystawy głównej rodziła się w wieloletnich sporach naukowych i personalnych. Wreszcie widz, który prawdopodobnie zetknął się z pojęciem ekspozycji narracyjnej, ale któremu słowo „muzeum" kojarzy się przede wszystkim ze zbiorem eksponatów, a niekoniecznie z nowoczesną sztuką wystawienniczą.

Pierwszą reakcją może więc być rozczarowanie. Jak to? Taki wspaniały budynek, tyle sporów ideowych i merytorycznych – a tymczasem rozciąga się przed nami ciąg rysunków na ścianach, trójjęzycznych inskrypcji i w najlepszym razie reprodukcji. Jakaś historia *pauperum*, komiks z tysiącletnich dziejów, niekiedy poruszany elektroniką. Pal diabli średniowiecze, pal diabli czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów – także wieki XIX i XX zaistniały niemal wyłącznie w obrazkach. A gdzie materialne świadectwa życia żydowskiego, gdzie meble, ubiory, księgi, warsztaty, garnki, biżuteria, przedmioty zbytku i świadectwa nędzy?

No właśnie, gdzie? Ten brak, ta nieobecność sama jest przekazem. I to bardzo silnym. Autorzy ekspozycji podkreślali, że muzeum ma być opowieścią o dziejach Żydów w Polsce, nie o Zagładzie, która stanowi jedynie tragiczny epilog tej historii. Ale o Zagładzie mówią nie tylko poświęcone jej sale ekspozycji, lecz od początku przypomina o niej właśnie pustka. Brak materialnych pamiątek, obecność nielicznych, raczej przypadkowych przedmiotów. Jakby pamięć o życiu polskich Żydów została wymazana, pochowana. Jak te macewy zamienione w płyty chodnikowe.

Zrozumiałe staje się teraz, że tysiąclecie w obrazkach, choć wielu może się wydawać infantylne, jest nie tylko próbą odzyskiwania zagubionej przeszłości, lecz także świadectwem jej zagubienia. Czy jednak można z tych obrazków naprawdę nauczyć się historii? To oczywiście zależy. Dla widzów nieprzygotowanych – a takich jest przeważająca większość – wystawa stanowi bryk przede wszystkim z historii Polski. Dla cudzoziemców, bo tej historii w ogóle nie znają; dla Pola-

ków, bo są chronicznie niedouczeni. Bryk połączony jest z atrakcjami: można sobie wydrukować sygnaturę którejś dawnych oficyn żydowskich, np. braci Heliczów z herbem Krakowa, można wyświetlić z komputera synagogi z krakowskiego Kazimierza, a tuż po otwarciu wystawy były jeszcze dostępne bilety kolei warszawsko-terespolskiej. Niemniej ten bryk zawiera również mocny przekaz: historia Żydów z historią Polaków jest nierozerwalnie spleciona. W połowie X w. Ibrahim ibn Jakub przez „kraj Mieszka" tylko przejechał, ale i tak pierwszy go opisał; a zapewne kupców żydowskich (także handlarzy niewolników) gościło wówczas na ziemiach polskich sporo. Osadnictwo na dobre zaczęło się w XII w., kiedy Żydzi przed prześladowaniami tłumnie uciekali z Niemiec; z roku 1264 pochodzi statut Bolesława Pobożnego, tzw. statut kaliski, normujący sytuację prawną przybyłych (jego fragmenty czyta lektor). Wystawa prezentuje kolejne akty prawne, pokazuje, jak z biegiem czasu Żydzi stawali się po prostu jednym ze stanów społeczeństwa feudalnego; odtąd historia diaspory jest częścią historii Polski. Nawet historii mitycznej, bo według legendy o Abrahamie Prochowniku – nie doszukałam się jej niestety w muzeum – to on po śmierci Popiela pierwszy przybył do Kruszwicy, to on zatem miał zostać władcą, ale po namyśle na swoje miejsce wskazał pewnego kołodzieja.

Historia diaspory jest częścią historii Polski także w tym sensie, że gdy Rzeczpospolita kwitła, kwitł tu również *Paradisus Iudaeorum*, raj żydowski, któremu kres położyło dopiero powstanie Bohdana Chmielnickiego. Dla Rzeczypospolitej był to początek klęsk, które miały doprowadzić do upadku państwa, dla Żydów – przedsmak zagłady, masowa śmierć w pogromach kozackich, zaświadczona przez Natana Hanowera. Zarazem historia diaspory biegnie jednak własnym rytmem – wystawa pokazuje ją punktowo. Krakowski Kazimierz, dokąd w XIV w. przesiedlony został królewski bankier Lewko (oglądamy wydany dla niego glejt ochronny Rady Miejskiej Krakowa z 1370 r.). Kolonia żydowska w Zamościu. Synagoga w Łucku. Synagoga w Żółkwi, współfinansowana przez króla Jana Sobieskiego… O zasobności tych kolonii, a zwłaszcza o świetności budowli, dziś nieistniejących bądź zrujnowanych, zaświadcza najpiękniejszy niewątpliwie fragment całej ekspozycji: rekonstrukcja polichromowanego sklepienia drewnianej synagogi z Gwoździca. Swego rodzaju arcydzieło rzemieślnicze, dla muzeum odtworzone przy użyciu tych samych materiałów, farb i narzędzi, jakich używano w XVII w. Ale takim punktem w opowieści jest również przypomnienie prężnie działających żydowskich drukarni; a w innym porządku – sejmów żydowskich: Litewskiego i Czterech Ziem (Wielkopolski, Małopolski, Rusi Czerwonej i Wołynia); a w jeszcze innym – narodzin chasydyzmu. Te punkty winny uprzytomnić współczesnym widzom całe bogactwo życia społeczności, która jednak przez wszystkie stulecia pozostawała dość hermetyczna. To bodaj Singer gdzieś napisał: „Żyliśmy ze sobą tysiąc lat, aleśmy się ze sobą nie zżyli".

Czy jednak ten obraz nie jest zbyt sielankowy? Wnikliwy widz doczyta się wprawdzie, że *Paradisus Iudaeorum* jest określeniem ironicznym. Że o żydowskim raju anonim z XVII w. pisał z gniewem: „Królestwo Polskie jest to:/Raj dla

Żydów/Piekło dla chłopów/Czyściec dla mieszczan/Panowanie sług". Że w siedemnastowiecznym *Tańcu śmierci* z krakowskiego kościoła Bernardynów wśród scenek i wierszyków otaczających obraz centralny najbardziej odrażające są te, które dotyczą Żydów (Jan Kapistran, założyciel świątyni, jeszcze w XV w. wzywał do wystąpień antyżydowskich). Że po kraju krążyły antysemickie karykatury i pamflety. I że przez wszystkie wieki utrzymała się wiara w żydowskie pożądanie krwi chrześcijańskiej, choć oskarżenia te kwestionował już statut kaliski. Oglądamy reprodukcje sandomierskich obrazów Karola de Prevota, przedstawiających mord rytualny; ten rodzaj zarzutów powtarzał się z taką uporczywością, że w 1753 r. Sejm Czterech Ziem zwrócił się do Rzymu o potwierdzenie siedemnastowiecznego orzeczenia Kościoła, iż oskarżanie Żydów o mordy rytualne jest bezpodstawne. I nawet w 1760 r. uzyskano stosowny dokument, co zresztą niczego nie zmieniło.

Wydaje się jednak, że intencją autorów wystawy nie było podkreślenie konfliktów, lecz raczej ich łagodzenie. Włączając dzieje Żydów w historię Polski, założyli – chyba słusznie – że czas na analizę punktów spornych przyjdzie później. Że łatwiej zapamiętany zostanie obraz względnie harmonijnej koegzystencji niż zarzewia konfliktów, których i tak w bliższych nam czasach nie zabraknie.

Synagoga z Gwoździca to centrum całej ekspozycji i zarazem zwieńczenie części *stricte* historycznej. Kolejne galerie wystawy otwierają się na nowoczesność. Ta opowieść jest już siłą rzeczy mniej przejrzysta; po prostu za dużo tam wątków, często wchodzących ze sobą w sprzeczność. Upadek Rzeczypospolitej nastąpił w momencie, kiedy w Europie na dobre zaczęła się epoka państw narodowych. W wyniku rozbiorów polscy Żydzi stali się poddanymi mocarstw całkiem odmiennych niż dawna Polska, przede wszystkim znacznie bardziej rygorystycznych. W nowej sytuacji część społeczności żydowskiej – wystawa to mocno akcentuje – zachowała polskie sentymenty, uczestnicząc w kolejnych zrywach patriotycznych. Autorzy pamiętali i o Berku Joselewiczu, i o żydowskich uczestnikach manifestacji sprzed powstania styczniowego. O Izaaku Kramsztyku i o Leopoldzie Kronenbergu. Jest Michał Landy, który zginął podczas demonstracji w 1861 r., przejąwszy krzyż od zabitego chrześcijańskiego współtowarzysza; jest haftowana chorągiew z 1863 r., ofiarowana powstańcom przez „Polki Izraelitki z Kalisza". W wyniku działań państw zaborczych diaspora żydowska utraciła jednak wiele ze swej odrębności i autonomii. W zaborze rosyjskim od 1853 r. obowiązywał zakaz noszenia tradycyjnych strojów żydowskich i do pierwszej wojny światowej trwały przesiedlenia i ograniczenia w wyborze miejsca zamieszkania. A w zaborze pruskim z kolei proces zrównywania Żydów w prawach obywatelskich doprowadził do ich germanizacji.

Jednocześnie przez cały wiek XIX Żydzi we wszystkich zaborach wtapiali się w europejską nowoczesność: współfinansowali budowę kolei, współtworzyli powstający przemysł, jak choćby w Łodzi Poznańscy, którym poświęcona jest oddzielna wnęka, uczestniczyli w powstawaniu ruchu robotniczego. Między sobą wchodzili w spory religijne (haskala kontra chasydzi) i ideowe (integra-

cjonizm kontra z jednej strony syjonizm, a z drugiej świecka kultura jidyszowa). Padali ofiarą pogromów organizowanych przez władze carskie, a także polskiego antysemityzmu (tygodnik „Rola" Jana Jeleńskiego, eksponowane na wystawie wyszydzające Żydów druki ulotne). I wreszcie emigrowali – do 1914 r. z Europy Wschodniej wyemigrowało, przeważnie do Stanów Zjednoczonych, 2 mln Żydów.

Metoda punktowo-obrazkowa nie wystarcza do pełnego przedstawienia tych zjawisk i procesów w całej złożoności – a z kolei spisanym miniwykładom towarzyszącym wizerunkom mało kto jest w stanie poświęcić pełnię uwagi. O tym, ile się z tej części wystawy wyniesie, w dużym stopniu decyduje wiedza, jaką się miało wcześniej. Z czystego oglądania płynie chyba tylko jeden wniosek: w XIX w. polscy Żydzi przestają być egzotyczni. Świat sztetli i chasydów zachowuje oczywiście malowniczość, która przetrwa i w okresie międzywojennym. Ale już gabinet Icchoka Lejba Pereca równie dobrze mógłby należeć do Bolesława Prusa, salon damy żydowskiej nie różni się od salonu damy polskiej, a hasła Bundu nie odbiegają daleko od haseł polskich socjalistów. Pisma wydawane w jidysz od polskich odróżnia alfabet, ale nie grafika; na fotografiach meble i surduty też wydają się podobne. Odrębności zeszły w głąb, w obręb światopoglądów; wizualnie ująć ich już się nie da.

To samo, tylko z jeszcze większym natężeniem, dotyczy okresu międzywojennego. Tu wystawa przede wszystkim kataloguje różne formy ówczesnej aktywności żydowskiej. Mamy więc coś w rodzaju kalendarium wydarzeń politycznych, z uwzględnieniem faktów szczególnie angażujących Żydów – choćby hasło wyborcze z 1922 r.: „Wszyscy Żydzi w Polsce głosują na listę Bloku Mniejszości Narodowych w Polsce". Albo fotografia przedstawiająca członków Żydowskiego Koła Parlamentarnego w Sejmie pierwszej kadencji. Mamy liczne świadectwa życia kulturalnego: żydowskich filmowców (których dziełem były zresztą także niemal wszystkie ówczesne filmy polskie), żydowskie teatry, żydowskie zespoły rozrywkowe, w tym oczywiście orkiestrę Artura Golda i Jerzego Petersburskiego. Mamy imponującą kolekcję wydawnictw prasowych, drukowanych zarówno po hebrajsku i w jidysz, jak po polsku. Mamy żydowskich sportowców, żydowskie kolonie letnie; kto trafi na antresolę, ten może się zapoznać ze szczegółami na temat stowarzyszeń oświatowych i biur podróży. Słowem, jest to dokumentacja licznych obszarów żydowskiego życia społecznego, świadcząca o w miarę harmonijnej koegzystencji z polską większością. Do tego stopnia, że autorzy ekspozycji w świat żydowskiej Warszawy włączyli i kawiarnię „Ziemiańską", i „Wiadomości Literackie", co oczywiście ma pewne podstawy, ale tak zupełnie ścisłe nie jest.

Obraz harmonijnej koegzystencji nie jest zresztą bez skazy. Upamiętniono pogromy, do jakich dochodziło w 1918 r., zaraz po odzyskaniu niepodległości. Upamiętniony został obóz w Jabłonnie, gdzie w sierpniu 1920 r. internowano żołnierzy żydowskich, *a priori* podejrzewanych o sympatie probolszewickie. Oglądamy transparent z lat trzydziestych przed gmachem Politechniki Lwow-

skiej: „Dzień bez Żydów. Żądamy urzędowego ghetta". Mam jednak wrażenie, że w tej akurat części wystawy idealizacja idzie za daleko. W Polsce, zwłaszcza pod koniec lat trzydziestych, antysemityzm stał się przecież szczególnie jadowity. A z kolei ówcześni Żydzi to nie tylko Julian Tuwim i Antoni Słonimski, a niechby i Jakub Appenszlak czy Szymon Dubnow. To także mieszkańcy enklaw etnicznych, i nawet nie wileńskiego „jidyszlandu", lecz niezliczonych Szczuczynów i Tykocinów, gdzie mało kto mówił po polsku i mało kto się do związków z Polską poczuwał. Galeria poświęcona dwudziestoleciu wyraźnie preferuje Żydów oświeconych; sztetl (pod nazwą „miasteczko", termin „sztetl" nie występuje nigdzie w całej ekspozycji) pojawia się rzadko, podobnie zresztą Miła i Nalewki. Chyba że przywołane pośrednio. Centrum tej części ekspozycji stanowi bowiem multimedialna uliczka z szyldami jakichś sklepików, redakcji „Nowego Dziennika" i kina „Fama". Uliczkę poprowadzono dokładnie tam, gdzie przed wojną przebiegały wprawdzie nie Nalewki, ale ulica Zamenhofa. I jest coś niesamowitego w połączeniu prawdziwości miejsca z owym multimedialnym kiczem; bo oto nagle uświadamiamy sobie, gdzie naprawdę jesteśmy. Wystawa wrasta w rzeczywistość, którą jednak natychmiast podważa przepływ pastelowych wizualizacji. Żydowska ulica nie pozwala zapomnieć, gdzie zostało zlokalizowane muzeum; kicz natomiast nakłania do zachowania dystansu. Nie wiem, czy takie napięcie emocjonalne zostało przez twórców wystawy zaplanowane, czy też to tak samo wyszło; w każdym razie ten dysonans towarzyszyć mi miał w kolejnych galeriach niemal do końca.

Zwłaszcza w tej, którą poświęcono Zagładzie. Świadomość, że w jakiejś części dokonywała się ona właśnie tutaj, w miejscu, gdzie stanęło muzeum, natychmiast przywodzi na myśl wszystkie niekończące się dyskusje o przedstawialności i nieprzedstawialności Holokaustu, o bezsilności sztuki i o poezji niemożliwej po Auschwitz. Trudno się tych myśli pozbyć, bo ekspozycja zorganizowana została przede wszystkim wokół getta warszawskiego; stąd pochodzi większość fotografii i w rezultacie getto zajmuje, przynajmniej w mojej pamięci, większą nawet przestrzeń niż *Endlösung*. A w każdym razie dojmująca jedność miejsca – wydarzeń i ekspozycji – oddziałuje silniej niż to, co przedstawiają obrazy.

Te zaś w syntetycznym skrócie opowiadają o narastaniu opresji: o etapach oddzielania Żydów od nie-Żydów aż po zamknięcie tych pierwszych w gettach; o warunkach życia w getcie – tu przewodnikami są Emanuel Ringelblum i Adam Czerniaków; wreszcie o wielkiej akcji likwidacyjnej. Jest Umschlagplatz. Jest powstanie, którego dokumentacja fotograficzna mocą ponurego paradoksu niemal cała pochodzi z raportu Jürgena Stroopa. Żeby uprzytomnić odwiedzającym muzeum odmienność między perspektywą żydowską i nieżydowską, szlak wyznaczony przez autorów prowadzi przez rodzaj kładki z widokiem na „aryjską" Warszawę; to jakby metafora drewnianego mostu nad Chłodną, łączącego małe i duże getto. Schodzi się po schodach z wypisanymi nazwami ulic: Sienna, Śliska, Pańska, Prosta, Twarda, Pawia, Krochmalna… Jest ciemno, ciasno, klaustrofobicznie; zupełnie inaczej niż w salach z historią dawną, jaśniejszych i przestronnych.

Część wystawy poświęcona Zagładzie nie ogranicza się jednak do getta warszawskiego. Przypomina, co działo się na ziemiach okupowanych przez ZSRR – wywózki ludności, także żydowskiej, na Syberię i Ural, rozstrzelanie oficerów Wojska Polskiego, w tym około pięciuset Żydów. Nie pomija też dalszego ciągu – pogromów, do jakich doszło po wkroczeniu Niemców. Na wystawie znalazła się mapa hańby – mapa miejscowości, w których latem 1941 r. ludność polska mordowała żydowskich sąsiadów. Jest też informacja o działaniach Einsatzgruppen – niemieckich oddziałów, masowo rozstrzeliwujących Żydów, jak w Ponarach, gdzie Niemców wspomagali litewscy szaulisi. Jest mapa obozów śmierci i na całą ścianę ekspozycja podobizn uczestników konferencji w Wannsee na tle tamtejszego pałacu.

A potem już nie ma nic. Autorzy tej galerii, Barbara Engelking i Jacek Leociak, piszą w katalogu wystawy, że starali się ukazywać Zagładę z perspektywy ofiar. „Ale nie możemy podążać za ofiarami aż do samego końca, musimy je zostawić na progu komory gazowej. Ofiary wchodzą tam same, tylko one, my zostajemy na zewnątrz". Temat zamyka ciemna sala, całe ściany pokrywa widok morza ruin. W podświetlonych gablotach w kształcie kamiennych brył kilka ocalałych przedmiotów: płytki ceramiczne, nadpalona tabliczka „Lekarz-dentysta B. Kacenellenbogen, m. 7", wygrzebana z gruzowiska. Wyżej hebrajska inskrypcja: „Nic, absolutnie nic mi nie pozostało z mojego dzieciństwa i młodości, nawet grób mojego ojca".

Ostatnia część wystawy wreszcie to cały okres powojenny. Niełatwe powroty ocaleńców z kulminacją w postaci pogromu w Kielcach. Pierwsza fala emigracyjna, zakończona w 1948 r. Kolejne dwudziestolecie kulawej stabilizacji w stosunkach polsko-żydowskich. Wreszcie ponury rok 1968 z nieodłącznym przemówieniem Gomułki z 19 marca i z transparentem „Oczyścić partię ze sjonistów". Gromadzone tuż po wojnie karty rejestracyjne Centralnego Komitetu Żydów w Polsce z podstawowymi danymi osobowymi, kiedy pierwszym zadaniem było ustalenie, kto przeżył – i „dokumenty podróży", wydawane emigrującym Żydom po 1968 r., z adnotacją, że ich posiadacze nie są obywatelami polskimi. A przede wszystkim niemożliwa do wizualnego zaświadczenia nieobecność Żydów i pamięci o nich w dyskursie publicznym. To wyjątkowo przykra część ekspozycji, trudno przejść przez nią bez wstydu. Mimo że autorom wystawy wyraźnie zależało na złagodzeniu wymowy faktów – a to reprodukcją okładki wywiadu Hanny Krall z Markiem Edelmanem, a to przypomnieniem albumu Małgorzaty Niezabitowskiej i Tomasza Tomaszewskiego *Ostatni współcześni Żydzi Polscy*, a to wielką fotografią nieoficjalnych obchodów 45. rocznicy powstania w getcie, na której obok Edelmana stoi Jacek Kuroń, a za nimi Tadeusz Mazowiecki.

Taki zastaw argumentów wyraźnie wskazuje, że autorzy ekspozycji odpowiedzialnością za powojenny antysemityzm obciążają przede wszystkim władze PRL. Potwierdza ten domysł końcowa część wystawy, zbierająca świadectwa z ostatniego ćwierćwiecza. Oglądamy dowody odrodzenia żydowskiego życia religijnego, zdjęcia z festiwali kultury żydowskiej w Krakowie i „Warszawy Sin-

gera" Fundacji Shalom; odnotowano działalność dokumentacyjną lubelskiego ośrodka Brama Grodzka, a nawet przebudowę pomnika w Jedwabnem. Po roku 1989 – zdają się kończyć opowieść twórcy ekspozycji – główne powody konfliktów zostały usunięte.

Zdaję sobie sprawę, że moja reakcja jest ambiwalentna. Mam świadomość, że finał tchnący optymizmem nie jest w pełni uzasadniony, a ściany naszych miast nadal są pełne wrogich bazgrołów. Ale też historii Żydów polskich nie można sprowadzać do dziejów polskiego antysemityzmu i autorzy ekspozycji uczynili wiele, by tego uniknąć. By raczej olśniewać, niż zadrażniać. Bo wystawa, nie da się zaprzeczyć, jest imponująca. A o tym, co w niej budzi sprzeciw, można dyskutować gdzie indziej.

Piękno budynku, wspaniałość ekspozycji – to wszystko przyciąga odwiedzających, budzi zaciekawienie, podziw, nawet snobizm. Więcej, wymusza szacunek tam, gdzie kultura polska uzurpowała sobie prawo do lekceważenia. Dlatego nie jest chyba dobrze, że słowo „Polin" zaczyna wypierać pełną nazwę instytucji. Jest krótsze, poręczniejsze, łatwiejsze do zapamiętania – wszystko prawda. Ale nie ma tej powagi, jaką ma nazwa Muzeum Historii Żydów Polskich.